

Panna Róża



ELIZA ORZESZKOWA

GLORIA VICTIS

Panna Róża

Jak żyję, nie doświadczyłem większego zdziwienia nad to, którym przejęło mnie opowiadanie czy wyznanie tego zacnego, wykształconego, przyjemnego, nade wszystko zaś bardzo, bardzo majątnego pana Seweryna Dorszy. Kiedy taki człowiek mówi, wierzyć trzeba; a jednak, któż by przypuszczał, któż by mógł się spodziewać? Więc słusznym jest rozkaz dany człowiekowi, aby nie czynił się sędzią bliźniego swego? Tak, tak! Bo czasem na nieznanym dniu czyjegoś serca leży w ukryciu taki brylant, że niech się przed nim i Książę Regent z angielskiej korony schowa! Tylko że samo jedno widzi go oko boskie...

Chyba jedno boskie oko widzieć mogło, że ta panna Róża posiada w ogólności jakikolwiek brylant, gdyż dla ludzkich oczu jest to sobie taka nie zajmująca i nic nie znacząca figurka, co to ją można sto razy widzieć, a niespodziewanie spotkawszy nie poznać i sto razy spotkać, a ochoty do najmniejszego zbliżenia się nie doświadczyć. Ani młodości, ani wdzięków, ani wyższej inteligencji, ani stanowiska w świecie — słowem: nic z tego wszystkiego, co może zbliżającemu się człowiekowi przynieść zysk pod postacią jakąkolwiek, więc też na zbliżenie zasługiwać. Bo tak: jeżeli kobieta jest piękna, choćby nieszpeta, choćby tylko młoda, to tam człowiek różnych przyjemności kapitalnych lub pomniejszych spodziewać się od niej może; jeżeli znowu posiada inteligencję niezwykłą, dowcip, talent, to oprócz konwersacji przyjemnej i tego miłego podrażnienia ciekawości, które każda niezwykłość obudza, jest jeszcze w perspektywie niejaki odbłask, rzucany przez wszelką błyszczącą rzecz na tych, którzy się do niej przybliżają. Zresztą piękny umysł — to w teraźniejszych czasach najczęściej, dla kobiety zarówno jak dla mężczyzny, i piękna pozycja w świecie; a jeśli kobieta znajdzie się w posiadaniu tej ostatniej, nie przez samą siebie, ale przez męża — i tak dobrze, bo skąd wzięta, to wzięta, byle była, a już zaraz łatwiej dostrzec różne brylanty i w sercu, i w głowie. Lecz istnieje cała kategoria kobiet takich, iż gdyby nagle rozwiały się w powietrzu i zniknęły, nikt nie spostrzegłby, że już ich nie ma, ani spostrzegłszy, po nich westchnął. Bywa to nawet często pracowite, uczynne, usługujące, jakby wiecznie przepraszające za to, że żyje na świecie; a pomimo to szacunek i sympatii ku sobie nie obudza. Ej, nie! Siew uczuć jest zbyt drogi, aby go rozrzucić po takich jałowych dolinkach, gdy plony wydać może tylko na gruntach wysokich i żyznych. Do takich dolinek należy właśnie ta panna Róża, która w charakterze ubogiej krewnej i zarządzającej gospodarstwem ochmistrzyni przebywa w powszechnie znanym i szanowanym domu naszych zacnych, miłych, gościnnych, majątnych państwa Januarostwa. Mówię: naszych, bo mam zaszczyt sąsiadować z Dworkami i poczytywać się za bliskiego znajomego, prawie za domownika ich właścicieli. Ładny majątek i — bez długów. Samo już to, że pan January nie ma długów, coś dla sąsiadów jego znaczy, bo każdemu jest przyjemnie zostawać w znajomości, a jeszcze i poufałej — z fenomenem. Gdyby brat pana Januariego żył, z majątkiem byłoby nieco inaczej, bo musieliby się nim podzielić. Ale ten biedny Bronek od dawna już przestał po tym świecie chodzić. Dlaczego i jakim sposobem przestał? — o tym dawniej w Dworkach ludzie mawiali po cichu, a potem mówić przestali, zapomnieli; pamiętały może sosny lasu, który zaczynał się bliźutko od dworu, a ciągnął się kędyś, aż bardzo daleko; pamiętać też musiała panna Róża, bo wyobrazić sobie państwo rzecz trudną do wyobrażenia, ale prawdziwą, że była ona niegdyś zaręczona z rodziutkim bratem naszego majątnego i kochanego pana Januariego, z tym biednym Bronkiem, co to tak marnie... No, mniejsza o to, ale było potem

powszechnie wiadome, że kiedyś panna Róża była narzeczoną jednego z najprzystojniejszych i najmajątniejszych w okolicy naszej kawalerów. *Sic transit gloria mundi*¹.

Jednak, prawdę mówiąc, i teraz jeszcze, gdyby się kto przypatrzył uważnie, mógłby w niej dostrzec nie tylko ślady, lecz może i pewne przetrwałości dawnej urody. Nie będąc już młoda i bardzo też stara jeszcze nie jest; tylko że nic wcale nikogo do przypatrywania się jej nie skłania, a skądinąd znowu taka panna Róża jak świeczka przy słońcu musi stawać się niewidzialna wobec takiej pani Januarowej. Bo okolica nasza prawdziwie pochłubić się może posiadaniem tej kobiety, różowej jak zorza, białej jak mleko, hożej jak młoda pani, okazałej jak królowa, a w dodatku mądrej... oho! Żeby była bardzo piękna — to nie: nosek za krótki, buzia za szeroka, włosy koloru blond za rzadkie, ale cera jak róże ze śniegiem, wzrost bujny, ciała białego dużo, wargi koralowe. Żeby była wykształcona albo utalentowana — także nie, ale jest w niej sprycik taki, co to sam przez się stanowi pewien gatunek mądrości i to nie byle jakiej, bo prowadzącej do posiadania różnych dóbr tego świata... no, naturalnie, że nie tamtego, zaziemskiego niepewnego, ale tego tutejszego, praktycznego, jedzącego, pijącego i smacznie sypiącego świata. Już pierwszym dowodem tego spryciku było jej wyjście za mąż za pana Januarego.

Wdowiec z trojgiem dzieci, z włosami szpakowatymi, a wąsem zupełnie już białym, ze zbytecznymi rumieńcami na tłustej twarzy i ze zbyteczną tuszą dla niewysokiej figury, nasz kochany i szanowany pan January zakochał się w dziewczynie do czerwcowego południa podobnej, ale złamanego szeląga posagu nie mającej. Może zresztą i za wiele powiedziałem, że zakochał się, bo i wiek nie bardzo był już po temu, i nigdy nie należał do rzędu tych, którzy w niebieskich migdałach smakują. Ale w oko mu wpadła, podobała się, że zaś Dworki są majątkiem dobrym i nieobdłużonym, dlaczegóż miałby odmawiać sobie jednej przyjemności więcej w tym tak krótkim i utrapionym życiu ziemskim? A jeżeli to, że się o pannę Izę oświadczył, było bardzo zrozumiałe, głupcy tylko dziwić się mogli, że ona te oświadczy przyjęła. Byli tacy, którzy dziwili się i tacy, którzy się martwili. Jakiś młokos na małej folwarczynie siedzący, który szalenie się w niej kochał, tak się jej postanowieniem zaalterował, że, aby w sąsiedztwie niewdzięcznej bogdanki nie pozostać, folwarczynę sprzedał i na skraj świata pojechał. Ale to wszystko jest pustym i czczym romantyzmem. Fakt zaś tak się przedstawia, że pani Januarowa żyje sobie w Dworkach jak królowa, otoczona dostatkami, elegancjami, szacunkiem powszechnym i dworem, którego mąż jej jest pierwszym marszałkiem. Bo to i wiedzieć trzeba, że nasz rozsądny i skądinąd energiczny pan January bardzo, bardzo zostaje pod wpływem żony; niektórzy utrzymują nawet, że cokolwiek jej się boi. Żeby się bał — nie myślę, bo przecież majątek do niego należy, a ona ma na nim tylko prawną część i dożywocie; ten zaś, do kogo majątek należy, jest panem położenia i nikogo bać się nie potrzebuje. Ale trzydziści lat różnicy w wieku małżonków — to istotnie racja wytwarzająca pewną, że tak powiem, skłonność do ustępstw ze strony tej, na której niekorzyść różnica ta wypada. Bo to i energii mniej znajduje się po tej stronie, i zawsze jakieś mimowolne poczucie się do winy czy do niższości. Więc też i w tym małżeństwie, jeżeli kto ustępuje przed kim, to on przed nią, jeżeli kto znosi cokolwiek od kogo, to on od niej: tak się już z tym pani Januarowa urządziła; a przecież każdy przyzna, że największa mądrość człowieka polega na takim urządzeniu się, aby, o ile podobna, najmniej znosić. Są tacy, którzy utrzymują, że cierpienia mają swoją dobrą stronę, kształcą serce, hartują ducha i coś tam jeszcze w tym rodzaju robią. Bajki! Zdrowie marnują, życie skracają, zmarszczki do twarzy napędzają, apetyt niszczą — i każdy, jak może, tak od zbawiennego pieprzu tego ucieka, tylko że nie każdy uciec potrafi. Nasza kochana pani Januarowa potrafiła, więc słusznie mówię, że choćby nie tak to bardzo wykształcona i rozumna, jednak — rozumna! Ale powracam do panny Róży. Ile razy wypadkiem stanęła w mojej obecności obok pani Januarowej, zawsze przychodziło mi na myśl: jakie to jednak bogactwo kontrastów na tym świecie istnieje. Nie jest bardzo małego wzrostu, ale że ogromnie zeszczupiała, twarz ma bladą i ubiera się zawsze w szarą, beżową suknię; więc przy okazałej, świeżej jak zorza, świetnie wystrojonej pani Janurowej wygląda jak niteczka wątła i spłowiła obok rozwiniętej w całej okazałości sztuki materii jaskrawej, mięsistej i szeleszczącej. Stosunek pomiędzy dwiema tymi paniami jest naturalnie taki, jaki być musi pomiędzy zwierchniczką a podwładną

¹*Sic transit gloria mundi* (łac.) — tak przemija chwała świata. [przypis edytorski]

— kobietą, której los sprzyja i taką, dla której nie okazał żadnej sympatii. Kiedy przed ożenieniem się pan January prosił narzeczoną, aby zgodziła się na pozostawienie panny Róży w przyszłym swym domu, bo jest krewną jego i zupełnie ubogą, a w domu tym wyhodowaną, teraz zaś dzieci jego osierocone po matce hodującą — panna Iza chętnie na prośbę tę przystała, mojej siostrze zaś, z którą była i jest w wielkiej przyjaźni, zwierzyła się potem:

— A cóż mi to szkodzi, że ta stara panna będzie w domu? Owszem, zajmie się gospodarstwem i mnie przynajmniej nudne kłopoty z głowy zdejmie. Przy tym, te dwie dziewczyny... chłopak nie tyle, bo większy, ale te dwie dziewczyny jeszcze małe, mogłyby mi nieraz kością w gardle stanąć. Niech tam ona dogląda ich i różnych tam potrzeb ich pilnuje. Owszem, niech zostanie w domu; jeszcze jej pensję jaką wyznaczę.

Ale panna Róża chciała z początku inaczej trochę stosunek swój do pani domu zrozumieć. Gospodarstwem i młodszymi dziećmi zajmować się — owszem, z całego serca, z wdzięcznością nawet za pozwolenie, pragnęła. Pensyjkę przyjęła także, bo i dawniej, nieco nawet większą, za te same czynności od krewnego otrzymywała. Tylko że oprócz pracy z jednej strony, a pensji z drugiej, coś innego chodziło jej po głowie. Wiem o tym wszystkim szczegółowo od siostry mojej, a powiernicy pani Januarowej. Otóż niebawem po przybyciu do Dworów młodej pani panna Róża przyklękła u jej kolan i zaproponowała, aby były, to jest, aby ona i pani Januarowa były sobie siostrami. Mówiła przy tym o swoim przywiązaniu do pana Januarowego, do domu, do dzieci i o tym, że żonę jedyne go krewnego swego gotową jest pokochać jak siostrę. Pani Januarowa zaś, z odznaczającym ją zazwyczaj rozsądkiem, odpowiedziała:

— Moja panno Rózo, ja mam dwie siostry i nie powiem, abyśmy, razem u papy będąc, bardzo sobie życie nawzajem uprzyjemniały! Ja pannę Różę szanuję i w domu moim pani mieć będzie wszelkie wygody, ale próżnych słów nie lubię. Kochanie! Siostry! Po cóż to mówić, skoro my z panną Różą ani kochać się nie potrzebujemy, ani siostrami nie jesteśmy. Najlepiej żyć bez fikcji!

Kiedy projekt zsiostrozianienia się w ten sposób upadł, panna Róża w jakiś czas potem poprosiła, aby pani Januarowa ją nazywała i siebie nazywać pozwoliła po imieniu:

— Te wieczne tytuły, takie chłodne!... Mów mi: Róziu, ja będę mówiła: Izo. To cieplejsze i zbliża.

— Dobrze — odpowiedziała pani Iza. — Mnie wprawdzie nie zimno i nie wiem, co od tego zależy, czy kto kogo tak albo inaczej nazywa. Ale jeśli to pannie Róży robi przyjemność...

A przy najbliższej sposobności przemówiła po dawnemu: Panno Rózo! Ta zrozumiała i nigdy już więcej tego przedmiotu nie dotknęła.

Jednak takie stworzenia cichutkie i bledziutki bywają czasem bardzo uparte: coś w nich siedzi, jakaś niewyekspensowana sympatia czy inna *fikcja* w tym rodzaju i wiecznie pobudza do prób, które się też wiecznie nie udają. Tak i ta panna Róża: nie zrażona kolejnym upadaniem swoich projektów, jeszcze przez czas jakiś próbowała młodą panią domu wziąć na czułość; do tytułu pani dodawała przymiotniki takie, jak: droga, kochana, złota, jedyna, dogadzała jej jak małemu dziecku albo staruszce, uwielbiała jej młodość, świeżość, urodę i ten zdrowy rozsądek, od którego sama o sto mil z okładem oddalona była. Pani Januarowa przysługi i uwielbienie przyjmowała jako rzecz zupełnie sobie przynależną, przymiotniki towarzyszące tytułowi pani pobraźliwie zносиła, lecz dalej na tej drodze zachodzić nie miała zamiaru ani chęci. Toteż ilekroć panna Róża w jakiś żywszy i wyraźniejszy sposób dążenia swe do wymarzonego zbliżenia objawiła, tylekroć pani Januarowa powstrzymywała ją słowami:

— Dobrze, dobrze, moja panno Rózo, tylko bez tych fiksjacji.

Nigdy nie nabyłem pewności, czy pod tym ostatnim wyrazem pani Iza rozumiała zmyślenie, czyli obłudę, albo też obłąkanie, czyli fiksjację; wymawiała go zresztą zawsze z chwilową zmarszczką na białym czole i lekkim wykrzywieniem koralowej wargi, które razem wzięte stanowiły tak zwany grymasik, bardzo ładny i z którym jej było bardzo do twarzy. Wolno przecież każdej ładnej kobiecie robić grymasiki, z którymi jej do twarzy! Ale na pannę Różę wszystko to wywarło wkrótce wpływ stanowczo zabijający złudzenia: ochłodziła i ucichła — bardzo ucichła, tym bardziej że i pan January, który dawniej gawędził z nią czasem i przyjaźń jej okazywał, teraz, zajęty młodą żoną i ciągłymi gość-

mi, prawie przestał do niej mówić, stopniowo prawie przestał ją widzieć. Z początku to jeszcze, dawnemu przyzwyczajeniu wierny, niekiedy przysiadł się do niej, albo na „dzień dobry” i „dobranoc” w rękę ją całował, ale pani Iza cichutko i ze swoim ładnym grymasikiem zaraz go przestrzegła:

— Mój Janusiu, tylko bez tych fikcji.

Czasem mawiała: bez tych czułości! Więc wystrzegać się zaczął, rychło dawne przyzwyczajenie utracił i do panny Róży odzywał się tylko w razie jakiejś potrzeby gospodarskiej — krótko, sucho, zwyczajnie jak do osoby, która pełni w domu jakąś czynność, ale sama przez się zupełnie nic nie znaczy.

Więc panna Róża ucichła, ale tak doskonale, że choć często bywałem w domu szanownych państwa Januarostwa, nie pamiętam, czy przez ostatnie kilka lat dwa razy głos jej usłyszałem. I trudno, zaprawdę, było, aby mówiła, kiedy nikt do niej nie mówił. Jednakże dom w Dworzech jest z całego sąsiedztwa najbardziej ożywiony. Czemuż by nie? Pokoje duże i ładnie umeblowane, jest więc czym oddychać i na czym wygodnie siedzieć; przyjęcie zawsze wyśmienite, bo i stać na to, i sam pan January zna się na kuchni jak rzadko kto; gospoia młoda, hoża, pasjami lubiąca grać w winta. Oboje państwo w Dworzech przepadają za wintem, ale ona jeszcze więcej niż on. Są tacy, którym się to nie podoba. Powiadają, że to jakiś świeżo importowany do nas zwyczaj, aby białogłowa młoda, silna choć drzewo rąbać, połowę życia albo i więcej przy kartach spędzała. Dawniej, powiadają, tylko stare jejmoście, gdy wnuki do snu zakolysały i różaniec odmówiły, zasiadały ze starymi jegomościami do mariasza, na krótką godzinę. Wszystko to prawda, ale naprzód, co nie jest, nie pisze się w rejestr — następnie jeden wiek do drugiego niepodobny, a nasz, to, panie dobrodzieju, właśnie jest wiekiem dekadentyzmu, ateizmu, kosmopolityzmu, melancholii, panamy i winta. W czasie, o którym opowiadam, panama wprawdzie jeszcze nie nastąpiła, ale wint już panował. Rzadki też bywał i bywa w Dworzech taki dzień, żeby choć parę osób z sąsiedztwa lub z pobliskiego miasta nie przyjechało, a nierzadko zjeżdża się kilka lub kilkanaście. Grywają do godziny drugiej, trzeciej po północy, po czym rozchodzą się do snu, z którego powstają około południa. Na skróconej w ten sposób przestrzeni dnia mieści się jednak mnóstwo rzeczy wyśmienitych, jako to: wieceńsiadanie, śniadanie, obiad, podwieczorek, wieczerza, wicewieczera. W przestankach trochę rozmowy, trochę fortepianowej muzyczki, w piękną pogodę spacer, a zresztą — najmiłszy ze wszystkiego wint. Wszyscy, ilu nas tam bywało, z wyjątkiem pana Dorszy, lubiliśmy go bardzo, ale pani Januarowa najbardziej; bo kobieta zawsze, gdy co lubi albo czego nie lubi, to już nie żartem. Siostra moja, Idalcia, raz śmiejąc się powiedziała:

— Ten wint to kochanek Izy.

I prawdę powiedziała. Nie ma na świecie człowieka, który by nie potrzebował wyekspensować na jakikolwiek przedmiot swojej energii i uczuć, a pani Januarowa nie ekspensując ich wiele na nic i na nikogo... Chociaż, gdyby ten najzacniejszy pan Dorsza przy całym rozumie swoim nie był głupi, to może... Ale o tym potem. Dość, że nasza kochana i miła gospoia w Dworzech naprawdę nie była wcale gospoia. W pokoju panny Róży stała na komodzie skrzynka pełna kluczy, na stole leżały rachunkowe książki. Często w czasie rozmowy albo i gry w karty zdarzyło się wypadkiem spojrzeć przez okno. Deszcz, szaruga, blocko, albo śnieg, mróz, zawierucha taka, że całe powietrze szumi, wyje i świszczuje; a kobiecina wątła, w szarej sukni, w watomym kaftanie biegnie przez dziedziniec do spichrza, pralni, piekarni, młeczarni, do oficyny z kuchnią i do tej, w której się znajdują pokoje dla gości. Za nią ślad w ślad czasem kucharz z rondlami, czasem praczka z koszem pełnym bielizny, czasem inni służący rozmaici. Raz, widząc ją biegnącą tak po śniegu, zauważyłem, że przy czarnym kaftaniku ma coś mocno różowego. Aż tu i ktoś inny przez okno patrzący spostrzeżenie wyraził:

— Czy to panna Róża dwa różowe tulipany ze śniegu wyrwała i niesie?

Młodsza z domowych panienek, blondyneczka, Marynia, smutnym głosikiem objaśniła:

— Ej, nie, to u cioci ręce takie czerwone od chłodu. Biedna ciocia!

A nasza kochana pani Januarowa, która właśnie w tej chwili na zielonym stoliku koronkę rozkładala, rozmowę tę usłyszawszy rzuciła spojrzenie na swoją rączkę dość dużą, lecz jak mleko bieluchną, jak pączek tłusciuchną, pierścionkami świecąca, prawdziwie apetyczną rączkę dobrze wykarmionego leniuszka.

Przed wszystkimi tak licznymi w tym gościnnym domu zasiadywaniami do stołu panna Róża uwija się po jadalni, dozoruje nakrycia, dyryguje lokajami, co moment na zegarek patrzy. Toteż gdy z panią domu na czele goście wchodzi do obszernej wyelegantowanej sali, na stół nakryty aż miło spojrzeć: takie na nim wszystko porządne, staranne, przyozdobione, wyelegantowane. Najemne ręce nigdy by tego nie dokazały, aby codziennie i tyle razy na dzień tworzyć takie arcydzieła porządku i dobrego gustu. Twórczyni zaś tych arcydzieł siada sobie cichuteńko przy samym końcu stołu i milczy jak ryba. Gwarzymy, bywało, wszyscy; śmiejemy się; zjadając i popijając smaczne rzeczy wpadamy w złote humory: a ona je tyle, co ptaszek, dziobnie czasem coś z talerza i zaraz sztucce odkłada, a oczami albo ruchy lokajów śledzi albo przekonawszy się, że usługa idzie jak najlepiej, utkwi je w talerz i siada zamyślona, jakby wcale do tego świata nie należała. A właśnie wtedy wzrok mój, nie wiem, jaką siłą pociągany, nieraz zwracał się ku niej. Czy żal mi jej było? Czy ciekawość mnie brała: co też ta kobieta czuć i myśleć może? Czy przypominał mi się jej dawny narzeczony, ten przystojny, miły, majątny Broniek? Lecz nieznacznie przypatrywałem się gładkim pasmom czarnych włosów, które ocieniały jej czoło, zawsze nieco pochylone i jak pajęczyną drobnymi zmarszczkami osnute, a w delikatnym owalu policzków, w długości opadających na nie rzęs czarnych, w zarysie warg cierpliwie zamkniętych dostrzegałem widoczne jeszcze przetrwałości dawnej urody. Gdyby ją tak ktokolwiek odchuchał, rozweselił, uleczył, ładnie ubrał, jeszcze niejedna o wiele młodsza schować by się przed nią mogła. Tymczasem jednak coraz więcej chudła i żółkła; a ponieważ nasza pani Januarowa coraz większą nieżyczliwość jej okazywała, więc dla wszystkich stawała się coraz mniej dostrzegalna, aż na koniec ja jeden tylko spostrzegałem jeszcze, że żyje na świecie, i to ukradkiem.

Nikt prócz mnie i siostry mojej, Idalci, nie wiedział o przyczynie nieżyczliwości, która dla tej nic nie znaczącej osobki powstała w sercu powszechnie szanowanej i kochanej pani domu. Otóż przede wszystkim powiedzieć muszę, że okolica nasza, dzięki zbiegowi pomyslnych okoliczności, jest dotąd wyjątkowo bogatą w obywatelstwo wiejskie zamożne i posiadające mnóstwo zalet towarzyskich i innych. Ale jak topola włoska nad wysokie nawet lipy i klony, tak nad sąsiadów swoich wysoko w górę wystrzela pan Seweryn Dorsza; bo o czym tylko zamarzyć, znajduje się w tym człowieku: piękność postawy i twarzy, inteligencja wyższa, kryształowa, proszę państwa, uczciwość i zacność, a do tego duży, formalnie już pański majątek. Z blasku czarnego oka i ze śniadej cery nikt by w nim pięćdziesiątki nadchodzącej albo już i nadeszłej nie odgadł; a choć siwizna srebrzy się gdzieś tam we włosach kruczonych i na czole zebrało się trochę zmarszczek, kobiety utrzymują, że mu to tylko uroku dodaje, świadcząc o wielu myślach pracujących w tej pięknej głowie i o cierpieniach, które przeżyć musiała, lecz pod nimi się nie ugięła ta silna postać męska. W domu swoim pan Dorsza posiada bibliotekę, obrazy, różne inne drogie i rzadkie rzeczy; w majątkach gospodaruje znakomicie, a sąsiadom służy wszystkim, co ma: radami, książkami, pieniężnymi pożyczkami itd. Sąsiedzi w zamian szanują go bardzo, ale żeby bardzo kochali, to nie powiem. Bo kto do serc ludzkich rzeką Cnotą płynie, nie dopłynie. Prosta do nich droga i najpewniejsza na gospodę Wesołość i na wielkie miasto Pospolitość. Przy tym różnice gustów i bardzo często miłości na przeszkodzie stoją. Pan Dorsza wiele rzeczy, które sąsiedzi jego lubią, nie lubi i odwrotnie. Sztwywny nieco, zawsze czymś bardzo zajęty, rzadko z kim zaprzyjaźnia się i spoufala. Więc jednych onieśmiela, innych nudzi, innym jeszcze w zabawie przeszkadza. Jednak pomimo to nikt nigdy złego słowa o nim nie odważył się powiedzieć, a znajomość z nim wszyscy poczytują za zaszczyt — to raz, a po wtóre za źródło ratunku w złej przygodzie.

W Dworakach pan Seweryn bywał nieczęsto i zachowanie się jego w tym powszechnie lubionym i poważanym domu było dość niezwykle. O ile my wszyscy admiirowaliśmy panią Januarową za jej okazałą figurę, świeżą cerę, mądry sprycik i wyborne granie w winta, o tyle on okazywał się dla niej zupełnie obojętny. Grzeczność wszelką zachowywał, naturalnie, ale więcej nic a nic. Rozmawiał z nią jak najmniej i bez upodobania, a co już nam w głowach pomieścić się nie mogło, to że witając się z nią i żegnając w rączkę jej nie całował. Weźmie, bywało, tę bieluchną i tłusciuchną rączkę i ledwie dotknąwszy wypuści ze swej ręki. A ona aż drży z chęci, aby surowe jego usta pocałunek na niej złożyły — może dlatego właśnie, że surowe i do pocałunków niesklonne.

Razu jednego siadaliśmy do obiadu, gdy przed gankiem zatrzymał się powóz pana Dorszy. Patrząc ja, aż nasza pani Januarowa oblewa się takim rumieńcem, jakby kto garnek kipiłatku na nią wylał; aż czoło, uszy i szyja stanęły w ogniu. Wnet przecież to minęło i gdy szanowny sąsiad, zaproszony do stołu, naprzeciw niej miejsce zajął, siedziała jakoś taka onieśmielona, milcząca, inna niż zwykle, jakby nam ją kto odmienił. Przez cały obiad ani razu mówiąc dumnie główki w tył nie odrzuciła, ani jednego ładnego grymasiku nie zrobiła, żadnej przestrogi mężowi nie udzieliła; bo zazwyczaj przestrzegala go z cicha, ale często. Gdy puszczał się z kimś w niezwykłą serdeczność, szeptała: „Janusiu, bez tych fikcji!” albo: „Bez tych czułości!” Gdy chciał nożem dopomóc sobie w jedzeniu, prawie do ucha mu mawiała: „Janusiu, bez noża!” Gdy nad podawanymi potrawami zaczynał czynić dodatnie albo ujemne uwagi, prosiła: „Janusiu, nie przy gościach!” A w obecności pana Dorszy nic: ani dumy, ani grymasików, ani przestróg mężowi, ani przekomarzania się z biesiadnikami — o sposób, w jaki dziś który w winta zagrał; o to, czy ten w tamtej, a tamta w tym kocha się albo nie kocha; o to, czy sąsiadka, o której mowa, ubiera się jak księżna czy jak koczokodan. Milczy, oczki spuszcza i — patrzcie państwo! — raptem o książkach mówić zaczyna. Głupstwa plecie, jednak plecie, bo wie, że pan Dorsza literat wielki, więc choć małą literatką okazać mu się pragnie. Po obiedzie w winta grać nie chce; męża do kart sadza, a sama z panem Dorszą rozmawia. Trzeba przecież, aby ktokolwiek z gospodarzy zabawiał gościa, który sam jeden z całego towarzystwa w karty nie gra. No, myślę sobie, jeżeli nasza pani Januarowa partyjki się wyrzeka, to już chyba... Ale cóż dziwnego? Pan January, gdy przed panem Sewerynem stanie, to jakby krzak jałowcu przed silnym dębem siadł. A zresztą któż zgadnie, co czasem jednego człowieka ku drugiemu pociągnie? Błysk oka czy kształt postaci? Dźwięk głosu czy zwa zwyczajnych osłon wyraźniejsze mrugnięcie duszy? Dość, że Idalcia znalazła raz w ogrodzie tę naszą biedną panią Januarową całą we łzach. Mądra, zdaje się, kobiecina, a przyszła i na nią kolej zwykłej głupoty ludzkiej. Nie zważa na to, że łzy piękności szkodzą i płacze!

— Czemu ja jego, mówi, przed wyjściem za Januarego nie poznałam! Czego ja tak śpieszyłam się z wyjściem za męża. Gdybym poczekała, spotkalibyśmy się wolni oboje.

Ani wątpiła, że gdyby nie była mężatką, on by ją pokochał i wziął za żonę. Pod względem podobania się mężczyznom była bardzo pewna siebie i w znacznej mierze miała słusność, bo takie jak ona niewiasty największy urok na pleć męską wywierają. Odalisy.

— On taki srogi — powiada dalej — nigdy nie zechce okazać, że zakochał się w mężatce!

Mniemała, że pan Seweryn przez surowość zasad tai się z miłością dla niej i ta właśnie, jak mówiła, srogość, była dla jej śniegów słońcem roztapiającym.

— Bo co mi z tych ślamazarników, którzy przede mną skaczą jak wróble na sznurkach. Mam i bez nich jednego już takiego! Ten — to mężczyzna!

Nie każdy wie, ile różnostronnej, szczerzej prawdy, naturalnej, wyższej mieści się w takim wykrzykniku kobiety: „Ten — to mężczyzna!”

Na koniec ni stąd, ni zowąd przyczepiła się do panny Róży.

— Wiesz, Idalko — zwierzała się przed swoją siostrą — to ta flądra ogaduje mnie przed nim, jestem pewna, że ogaduje i zraza go do mnie!

Wyrażenie było niezbyt wykwintne, ale w rozmowach poufnych pani Iza dość często podobnych używała. Idalka we flądrze domyśliła się panny Róży.

— Kiedyż by miała czas na ogadywanie? — zaprzeczyć spróbowała — zawsze tak krótko z sobą rozmawiają.

— Jednak rozmawiają! Ile razy przyjedzie, zawsze z nią choć trochę porozmawiać musi i czy uważałaś? przy powitaniu i pożegnaniu w rękę całuje ją zawsze! U stołu też ciągle zwraca się do niej. Jakieś takie uszanowanie nadzwyczajne ma dla niej i więcej niż uszanowanie, wprost sympatię. I za co tej starej pannie takie uszanowanie okazywać? Jakim sposobem dla takiej zmokłej kury można mieć sympatię?

— Cóż dziwnego, moja Iziu! Znają się od bardzo dawna.

Pani Januarowa aż piąstki ścisnęła z oburzenia.

— Głupstwa pleciesz, moja Idalcu! Znają się! Pomiędzy człowiekiem z takim stanowiskiem jak on a taką pchłą jak ona nie może być żadnej prawdziwej znajomości. Głowę kiwnąć to już musi, bo przecież i ona jest niby to kobietą, ale zresztą i spojrzeć mu na nią nie warto!

Spoglądał jednak i czasem, gdy oczy jego pomimo niepierwszej młodości pełne blasku i głębi spoczywały na delikatnym owalu jej twarzy, któremu gładkie pasma czarnych włosów dodawały jeszcze bladości i ciszy, ukazywał się w nich wyraz medytacji, pełnej dobroci, litości i smutku.

Raz w czasie bytności pana Dorszy w Dworzech pani Januarowa wbrew zwyczajowi swemu w obecności jego do kart zasiadła. Tak się jakoś złożyło, że musiała to uczynić. Gość nie grający w karty rozmawiał z młodzieńskim synem pana Januarego i młodszą z dwóch córek, bo starsza już od razu z upodobaniem grywała w winta. Po upływie jakiegoś kwadransa pani Januarowa niespokojnie obejrzała się po salonie i siedzącego przy oknie pasierba z żywością zapytała:

— A gdzie pan Dorsza?

Student spojrzął w okno i odpowiedział:

— Z ciotką Różą w kasztanowej alei chodzi i rozmawia.

Było to na wiosnę. Kwietniowe słońce osuszyło ziemię, trawy zieloną szczotką dobywały się na całej przestrzeni ogrodu, którego wspaniałe aleje zaczynały zielenić się od rozwierających się pąków i młodych listków. Przy pierwszej sposobności zbliżyłem się do okna i zobaczyłem istotnie parę ludzi z wolna przechadzających się po jednej z alei. Z powodu odległości nie dostrzegłem ani gestów ich, ani wyrazu twarzy, tylko za bladzieloną koronką gałęzi widziałem, jak obok wysokiej, silnej postaci pana Seweryna na kształt wągłego cienia przesuwała się szara sukienka panny Róży.

Pani Januarowa odezwała się do męża:

— Janusiu, zadzwoni!

A do lokaja, który dzwonkiem przywołany wszedł natychmiast, rzekła:

— Powiedz pannie Róży, żeby kazała podwieczorek podawać.

Zwykła podwieczorkowa pora jeszcze nie była nadeszła, ale gościnną pani domu troszczyła się widać, aby goście nie uczyli się głodni. Niebawem też do salonu wszedł pan Seweryn, trochę chmurny, a jednocześnie powóz jego zajechał przed okna domu.

— Pan już odjeżdża! — zawołała pani Januarowa widocznie zalterowana.

Pomimo próśb obojga gospodarstwa domu na podwieczorku nawet nie chciał pozostać i — odjechał. Nie było widoczne, że przyjeżdżał tylko dlatego, aby z tą starą panną o czymś pomówić? Ona zaś, gdyśmy do sali jadalnej weszli, kończyła coś na stole ustawiać; spostrzegłem, że szczupłe ręce jej drżały i na bladych policzkach miała słabe rumieńce. Ale nigdy nie zapomnę wyrazu oczu pani Januarowej, gdy ogarniała spojrzeniem tę pochyloną nad stołem głowę. Żarzyły się te błękitne i zazwyczaj trochę senne oczy, piekły, gryzły, nienawidziły. Przedtem już w drzwiach jadalni szepnęła do Idalci:

— Pan Dorsza ślicznie sobie przyjaciółkę dobrał! Bardzo stosowna para! Sympatia umieszczona bardzo właściwie i... szczęśliwie!

Siadając do stołu, głośno odezwała się do męża:

— Janusiu, wiesz o nowinie? Pan Seweryn Dorsza oświadczył się dziś o rękę panny Róży!

Nasz poczciwy pan January wytrzeszczył zrazu swoje wypukłe, spłowiałe oczy; lecz chcąc zasłużyć się żonie od dość dawna nadąsanej i dla niego zubożonej w ton jej uderzył.

— A wiesz! — w sposób żartobliwy mówić zaczął — wiesz kuzynce! Bardzo rad jestem! Nareszcie! No, już i pora! Kiedyż wesele?

Jakby na dane hasło, zewsząd posypały się żarty. Zygmunt przyskoczył i pieszczotliwie pannę Różę obejmując wołał:

— Zatańczy ciocia ze mną na swoim weselu walczyka? A może teraz spróbujemy... dla wprawy!

Starsza z panienek śmiała się:

— Ciotka nam młodym świetną partię odbiera!

Siostra pani Januarowej, niezła nawet kobiecina, ale zawsze czegoś dla siebie i mnóstwa dzieci swoich od Izi potrzebująca, z cieniutkim śmieszkiem wołała:

— No, panienki, nie desperujcie nigdy! Widzicie, że i do stu lat nie trzeba jeszcze tracić nadziei!

A mąż jej grubym basem i ohydą francuszczyzną huczał:

— *Mie wo tard ke jamais! Szakiun truf son szaken!*

Pan January ucieszony uciechą żony, która zanosila się od śmiechu, trochę gapiowato, bo bez rzeczywistej ochoty zapytywał:

— Jakże to było? Jakże to było?

— Jak było? — powtórzyła pani Januarowa i ślicznymi rączkami odpowiednie gesty robiąc prawila:

— Poetycznie, idealnie... o zachodzie słońca, w kasztanowej alei... pomiędzy młodymi listkami przechadzała się młoda para...

— Młoda, to prawda! *Il fo ke la ženes se pas!*

— Żeby tylko od tego wieczornego spaceru katarów nie podostawali!

— Fi! Katar i miłość! Niedobrana para!

— I pomiędzy ludźmi bywają pary niedobrane!

Jak Boga kocham, ani ja, ani siostra moja Idalcia, nie należeliśmy do tego chóru. Co za ochota ni z tego, ni z owego, tak na kogoś napadać! Przy tym widziałem dobrze, jak panna Róża przy pierwszym odezwaniu się pani Januarowej podniosła na nią oczy ogromnie przełęcznione. Nie rozumiałem, co mogło być przyczyną tak silnego przestachu, ale jakoś żał mi się jej zrobiło. Potem, gdy przekonała się, że są to jedynie żarty, oczyma tylko spod długiej rzęsy błysnęła, zarumieniła się bardzo mocno i wnet uspokojona poczęła układać w koszyku ciastka, które Zygmus, do tańca ją niby porywając, rozsypał. W tym błysku oka i w tym rumieńcu wystrzelił na świat gniew, lecz wnet powściągnięty zniknął, zostawiając tylko po sobie na spokojnie zamkniętych ustach uśmiech bardzo zagadkowy. Można by mniemać, że śmiała się w duchu z tych, którzy się z niej wyśmiewali: jednak zarazem i cierpiała. Powieki jej drgały, jak bywa zawsze, gdy ktoś z całej siły powstrzymuje się od płaczu.

— Czy widzą państwo, jaka luna na niebie? Pożar czy co? — zawołałem wskazując na okno.

Idalcia zrozumiała mój zamiar i do okna skoczyła.

— Czy nie Koziolki panu palą się, panie January?

Oboje państwo Januarostwo byli już u okna. Koziolki były ich folwarkiem o parę wiorst od Dworków odległym. Powstało zamieszanie, przyglądanie się niebu, sprzeczka i ostateczne przeświadczenie, że luna, którą wziąłem za odbłask pożaru, była tylko wyjątkowo ognistym odbłaskiem zachodu słońca. Żarty sypnęły się z kolei na mnie. W ogóle w Dworkach panowało upodobanie czy moda wybierania kogokolwiek z obecnych za cel żartów. Tego lub owego, tę lub ową prześladowano to zakochaniem się, to nieumiejętnym graniem w winta, to młodością, to starością, to złymi interesami majątkowymi albo sercowymi niepowodzeniami. Dowcipy strzelały jak rakiety, śmiechy toczyły się jak gamy. Pacjenci, chcąc nie chcąc, śmiali się wraz z innymi, oczyma i myślą poszukując wśród otaczających, kogo by tu co najprędzej na następcę swego wykierować. I nic dziwnego. Dobrobyt, panie mój dobrodzieju, kompletny, czasu wolnego właściwie tyle, ile go od rana do nocy upływa i towarzystwo domowe, oprócz gości prawie ciągłych, dość liczne.

Zygmus był ładnym, zgrabnym chłopakiem, trochę zanadto przez ojca i macochę rozpieszczonym, bo pani Januarowa przed innymi dziećmi go faworyzowała i z jego przyczyny wpadała nawet czasem w fikcję czy w czulości. Nie należy jednak przypuszczać, aby tu było coś podobnego do historii Fedry i Hipolita. Broń Boże! Nasza pani Januarowa była zbyt rozsądna, aby aż takie awantury greckie wyprawiać. Tylko miała do Zygmutusa słabość, a kiedy kobieta ma do kogo słabość, to, panie dobrodzieju, zwin chorągiewkę z zapytaniem: a za co? a dlaczego? a do czego dąży? itd. Ma słabość i kwita: więc pieści, lula, czym tylko może, osypuje, wychwala, a jak ostatecznie gagatek na tym wyjdzie, głowy sobie tym na zawraca. Co się tyczy pedagogiki, to można powiedzieć, że naszej kochanej pani Januarowej ona w głowie nawet nie powstała; więc wciąż dudniła mężowi nad uchem; „daj Zygmutusowi pieniędzy! pošlij Zygmutusowi więcej pieniędzy!” A gdy uczeń, potem student do domu przyjeżdżał, wymyślała dla niego różne przysmaczki, zabawki, siurpryzki. Zygmus zaś jak każdy grzeszny człowiek smaczne kąski życia z natury już lubiący, przy tym żywy, wrażliwy, umizgalski, do nauk zdolny, lecz i do zabawy skory, pełnymi nozdrzami wciągał w siebie rozkoszną atmosferę domową i wyjeżdżając do szkół, potem do uniwersytetu, brał z sobą tak znaczny jej zapas, że czym innym żywić się już ochoty mu nie dostawało. Otóż w gruncie rzeczy, nie można powiedzieć, aby ten

miły pustak nie lubił panny Róży, która go w czasie wdowieństwa pana Januarego i potem jeszcze hodowała i pieściła. Owszem, podbieży czasem do niej, pieszczotliwie w oczy spojrzy, kilka słów uprzejmych przemówi; tylko że w dłuższe rozmowy z nią to się nie wdaje, bo macocha nie lubiłaby tego: i jakąż przyjemność takiemu młodzieńcowi rozmowa z taką starą panną sprawić by mogła? Raz kwiatek jakiś, który w ręku trzymał, do szarego stanika jej przypiął i wychwalać zaczął, że bardzo jej z kwiatkiem tym do twarzy. Wszyscy w śmiech! Naturalnie, bo czyż jej cokolwiek mogło już być do twarzy! Innym razem, gdy zajęta przyrządzaniem sałaty stała plecami do całego towarzystwa obrócona, zakradł się i zręcznie parę szpilek z włosów jej wyciągnął. Wtedy stało się coś osobliwego. Cudne to były włosy. Gdzieniedzie wiła się w nich nic srebrna, zresztą czarne jak atrament, gęste i bardzo długie rozsypały się po plecach, spadły poniżej kolan i całą tę wątlą, szarą postać okryły lśniącym płaszczem atlasowym. Posiadaczka tych cudów obejrzała się zrazu z przestachem; potem błysk gniewu przemknął po ciemnych żrenicach i zaraz zgasł, rumieniec wytrysnął na chude policzki i zaraz zniknął; pośpiesznym ruchem w obie dłonie włosy zgarnęła, z tyłu głowy w węzeł skręciła, szpilkami, które Zygmunt jej zwrócił, przypięła i ze spokojnie pochyloną głową sałatę przyprawiać kończyła. A dokoła stołu śmiech ogólny.

— Jezus, Maria, żeby aż tyle włosów na głowie nosić! Czyż to warto, kiedy ich nikt nie widzi?

Istotnie, nikomu dotąd do głowy nie przyszło zwrócić uwagę na to, jakie panna Róża ma włosy.

— Po co cioci takie włosy? — szczebiotała starsza z panienek, panna Kamila. — Niech ciocia mnie je odda: to przynajmniej zdadzą się na cokolwiek!

— Chętnie, moja Kamilko, uczyniłabym to, gdybym mogła — obojętnie odpowiadała panna Róża siadając na swoim ostatnim miejscu przy stole.

— O, co w to, to nigdy nie uwierz! — zawołała pani Januarowa. — Nikt nie rozstaje się chętnie z pamiątkami dawnych czasów!

A szwagier, nasz dowcipny i zarówno wesoły pan Faustyn, figlarnie ku pannie Róży mrugając i znacząco chrząkając podjął:

— Chyba ktośś... ktośś... hm, hm, co to ja wiem, a panna Róża rozumie, długich włosów u kobiet nie lubi. W takim razie trzeba je ostrzyć, trzeba, bo lepiej mieć pięknego męża niż piękne włosy.

Ten sam pan, nie najgorszy nawet człeczyna, tylko taki sobie totumfacki, który często na dworze królowej siostry przebywając i od szwagra pożyczek pieniężnych potrzebując, rad był choć facecjami wywdzięczać się dobrodziejom, gdy wszyscy przy stole siedzieli, przyszedł z ogrodu z przekwitłą, na wpół już z liści opadłą różą w palcach. W granatowej marynarce i białym muślinowym halsztuchu, trochę siwy, trochę łysy, z okrągłą twarzą, mocno od upału zaczerwienioną, przeszedł wzdłuż całą salę jadalną i razem ze zwiędłym, żółkłym kwiatem przed talerzem panny Róży w szklance umieścił. Przy tym z pociesznym dygiem i umizgiem rzekł:

— *Ski se resampl, s'asampl!*

Wszyscy w śmiech! W jej żrenicach znowu błysk nagły, szybko pod spuszczone powiekami ukryty.

Z grzecznością kobiety przyjmującej od mężczyzny drobną przysługę odpowiedziała:

— Dziękuję panu.

Dokoła znowu śmiech.

— Żeby tak bardzo było za co dziękować, to nie powiem!

— Jeżeli ciocia życzy sobie, to ja po obiedzie cały bukiet takich kwiatów cioci przyniosę!

— Przynies i postaw przed portretem Mickiewicza.

— Albo lepiej przed szafką z książkami!

Portret jak portret, uchodził jeszcze, bo pomimo rozsądnej atmosfery dom ten napelniającej, tak wielkiego imienia do żartów używać nikt nie miał ochoty ani może śmiałości; lecz szafka z książkami dawała temat do wielu facecji. Powiadano, że była wypchana poezjami na cały pokój pachnącymi.

— Wchodzę do pokoju panny Róży — opowiada pani Januarowa — cośś pachnie! Co to? Konwalie, mirt, ananas...

— Tymianek, lilia, hiacynty — podpowiada ktoś bieglejszy w nomenklaturze botanicznej.

— Jakiś bardzo staroświecki zapach! Co by to mogło być? Szukam i przekonuję się, że to przez szczeliny szafki tak pachnie — poezja!

Czasem zapytywano pannę Różę, czy dlatego ma zaczerwienione oczy, że późno w noc czytała poezję. Ilekroć pani Januarowa uczyła się niezadowolona z jakiego szczegółu gospodarskiego, ze wzruszeniem ramion i swoim ładnym grymasikiem mawiała:

— To poezje temu winne!

Raz nawet pan January, rozgniewawszy się za nie dość dobrze przyrządzony pasztet do śniadania, ze spojrzaniem rzuconym w stronę panny Róży krzyknął:

— A wszystko to z powodu tych poezji!

Raz też z powodu tych poezji zaszła scena, o której wspominając rumienię się nie na twarzy, proszę państwa, ale w duszy. Było tak. W Dworach oprócz domowego towarzystwa znajdowały się tylko cztery przyjezdne osoby: siostra pani Januarowej z mężem i ja z Idalcją. Byliśmy więc w swoim kółku i zauważyliśmy, że nasza kochana pani Januarowa czuje się jakoś bardzo niedobrze. Nie żeby była — broń Boże — chora: owszem, nigdy zdrowiej i świeżej nie wyglądała, ale jakaś irytacja, zły humor, nieukontentowanie ze wszystkich i ze wszystkiego. Męża raz po raz przestrzegała; na pasierbicę to już wprost co moment fukała; w winta grała jak najgorzej i za własne omyłki mnie biednemu parę razy porządnie głowę zmyła. Gdyby nie uszanowanie należne dla damy z takim stanowiskiem w świecie, tak ładnej i gościnnej, powiedziałbym, że była wściekła. Mój Boże! Taka ładna, majątna, rozsądna kobieta i — wściekłość! To po prostu zepsuta linia! Szkoda, ale cóż robić, skoro doskonale prostych linii pomiędzy ludźmi znaleźć niepodobna. Ściana będzie prostą, drzewo czasem będzie prostym, drożyna w ogrodzie, gdy ją ogrodnik pod sznur wytknie, prościutko przerżnie murawę. A człowiek — nie! Żeby tam nie wiem jak był rozsądny, zastanawiający się, unikający fikcji, zawsze znaleźć się musi coś takiego, co jego linię w jedną lub drugą stronę wykrzywi. A najwięcej namiętność, najwięcej, panie dobrodziejku, namiętność... Tak i tu było: wbiła sobie kobieta ćwiek w głowę: tego pana Seweryna, który jak nie przyjeżdżał, tak nie przyjeżdżał, i drugi jeszcze ten, a to, że panna Róża temu winna, bo ją przed nim ogadała... tam, wtedy, po kasztanowej alei z nim chodząc, ostatecznie ogadała. Przy tym Idalcja szepnęła mi przy sposobności, że Izi czułości pana Januarego okropnie się już przykrzą. — Czuli się do mnie coraz więcej — opowiadała powiernicy — a ja o tamtym myślę! Więc mnie wszystkie złości i desperacje ogarniają!

No, naturalnie, ale z drugiej strony było w tym trochę kobiecego marzycielstwa. Czułości przykrzą się? — Dobrze; a Dworki z przyległościami? Jakkolwiek bądź, późno w wieczór po wieczerzy, gdyśmy skończyli ostatniego na dziś roberka, pani Januarowa oddaliła się z salonu i po kilku minutach powróciwszy cała w ogniu i śmiechu przed nami stanęła. Śmiała się, a z oczu i nawet ze śmiechu iskry sypać się zdawały.

— Chcecie, państwo, literatkę zobaczyć? Prawdziwą literatkę? Żeby jej nad uchem wystrzelić, nie usłyszy: taka zaczytana! Dlatego to przekąski dotąd nam nie podano. Komedia! Chodźcie państwo, chodźcie tylko zobaczyć.

Tak bardzo prosiła, żeśmy wszyscy wstali i poszli. Pan January mruknął zrazu:

— Dajżeż pokój tylko! Co tam ciekawego?

Ale ona odpowiedziała:

— Mój Janusiu, tyłkoż bez tych kaprysów!

Więc także wstał i poszedł. Przeszliśmy jadalną salę, inny jeszcze pokój i inny jeszcze, aż znaleźliśmy się przed otwartymi drzwiami pokoju panny Róży. — Nic osobliwego. Ściany oklejone pstrym obiciem, łóżko białe zasłane pod ścianą, skrzynka pełna kluczy na komodzie, w kątku oszklona szafka z książkami... ta sławna! — i tylko jedna rzecz uderzająca: głęboka cisza. W tym domu gwarnym, od rana do wieczora rozlegającym się brzękiem szkła i talerzy, rozmowami, śmiechami, gościnnymi powitaniem, wintowymi wykrzyknikami, pokój ten wydawał się oazą takiej ciszy, że słyhać było, jak za oknem stara topola w wietrze nocnym liśćmi szeleściła. W tej ciszy i w tym szeleście jak raz naprzeciw drzwi, w których stanęła wesoła nasza kompania, wisiał na ścianie sporej wielkości portret Mickiewicza i przy stole, w łagodnym od błękitnawej zasłony świetle lampy

siedziała panna Róża. Profilem ku nam zwrócona, z łokciem o stół opartym i czołem trochę na dłoń pochylonym, oczy miała utkwione w leżącej przed nią książce. Drobne jej wargi były spokojnie zamknięte, profil z wypukłością bladej kamei odrzynał się na tle błękitnawego światła, które pogłębiało czarność włosów i dawało srebrny połysk wijącym się wśród nich białym niciom. Była tak zatopiona w czytaniu, że nadejścia i szeptów naszych zrazu nie usłyszała. Prawda, że szepaliśmy bardzo po cichu.

— A co? Nieprawdaż, że dla malarza model na literatkę!

— I jaką! O bożym świecie czytając zapomniała!

— A jakie księżycowe światło u siebie urządza!

— „Już księżyc zaszedł, psy się uspiły...”

— Tylko że „Filon” to już pewnie żaden nie kłaśnie za borem!

— Kto wie! Ja może coś w tym rodzaju wiem!

— Ciekawość, co ona takiego czyta?

— Pewno coś czulego!

— „Mario, czy ty mię kochasz, bo masz taką postać!...”

— A może Darwina o pochodzeniu człowieka od małpy?...

Autorem ostatniego konceptu był szwagier pani Januarowej, która parsknęła śmiechem; ktoś inny zaśmiał się też głośno. Wtedy dopiero panna Róża, jak ze snu obudzona, drgnęła, ku nam twarz obróciła, a ujrawszy trzódkę baranów we drzwiach stłoczoną, szybko z krzesła powstała.

— Czy czego trzeba?

— Niczego, niczego nam nie trzeba! Jesteśmy tylko zaciekawieni: w czym panna Róża tak głęboko się zaczytuje?

— Czy to *Maria Malczewskiego*?

— A może *Adolf i Maria, czyli dwoje kochanków nad brzegiem Dniestru*?

— Ej nie! *Ciuńdziewicz* pewno albo *Ćwierciakiewiczowa*².

— Po co to kuzynka wiecznie w tych książkach siedzi i tylko powód do żartów z siebie daje! — markotnie zagadał pan January.

Wszystko to mówiąc, wtargnęli do pokoju i otoczyli ją ścisłym kołem. My tylko z Idalcią zostaliśmy we drzwiach i najbliższej nas młodsza z pańienek, Marynia. Tamci zaś gadali jak najęci:

— Proszę pokazać, co pani czyta!

— Proszę lepiej trochę nam głośno poczytać!

— Dobry projekt! Niech pani nas zbuduje, panno Rózo!

— Albo rozrzewni...

Ona zrazu, jak bywało zwykle w podobnych wypadkach, oblała się rumieńcem i błyskawicą strzeliła z oka; lecz zaraz spokojnie wzięła ze stołu otwartą książkę. Tylko na cienkich wargach miała ledwie dostrzegalny, ciekawy uśmiezek, który zauważyłem nieraz, a który zdawał się litościwie drwić z tych, co z niej drwili.

— Aha! przeczyta nam pani stroniczkę o *Adolfie i Marii*...

— A może o sztuce mięsa z parmezanem...

— Niech państwo już cicho będą! Słuchamy!

— Słuchamy! Słuchamy!

Z takim lekkim ukłonem, z jakim zazwyczaj dobrze wychowana kobieta przystaje na objawione jej żądanie, Róża rzekła:

— Owszem. Jeżeli państwu sprawi to przyjemność, przeczytam.

I głosem zrazu cichym, potem coraz pewniejszym i nabierającym dźwięków wcale miłych i dobitnych czytać zaczęła:

W Tobie ja samym, Panie, człowiek smutny,
Nadzieję kładę; Ty racz o mnie radzić.
Nieprzyjaciół mój, jako lew okrutny,
Szuka mej duszy, aby ją mógł zgładzić...
Z jego paszczyki, jeśli, o mój Boże
Ty sam nie wyrwiesz, nikt mnie nie wspomóż.

²*Ćwierciakiewiczowa* — autorka popularnych w XIX i na pocz. XX w. książek kucharskich. [przypis edytorski]

...Boże, przed którym tajne być nie mogą
Myśli człowiecze, w Twej stając obronie,
Przed żadną nigdy nie ucieknę trwogą,
Bo szczerze serce w Twojej jest zasłonie.
O, sprawiedliwy sędzio. Ty każdego
Sprawnie obdzielasz wedle zasług jego...

Nie w takim to ja porządku powtarzam, co czytała i nie wszystko, chociaż potem psalmu tego próbowaliśmy oboje z Idalcią na pamięć się wyuczyć, ale co pewne, to, że słuchając, staliśmy wszyscy jak głąby z gębami pootwieranymi. Bo jakże! W pokoju cicho tak, że słyhać, jak za oknem topola szumi, parę gwiazd złotych z ciemności nocnej przez szyby zagląda, że ściany patrzy oblicze Mickiewicza, a w błękitnawym świetle kobiecina wątła i delikatna, z węzłem czarnych włosów z tyłu głowy, z książką w obu rękach, coraz śmiej i piękniej wylewa z bladych ust nuty słowika z Czarnolasu... Powiadam państwu, że fetę nam sprawiła! Zabełkotaliśmy też coś ni w pięć, ni w dziewięć, gdy umilkła, i wynieśliśmy się do dalszych pokoi. „Duchom naszym dała w twarz” i wynieśliśmy się skonfundowani. Tylko przy ogólnym oddawaniu „dobrej nocy” patrzę ja, co to takiego? Zygmuś i Marynia mają jakieś takie dziwne oczy, omglone i markotne, ni to rozmarzone, ni to zmartwione.

A pan January tak, aby małżonka nie słyszała, do ucha mi szepnął:

— To ja jej tę książkę na pamiątkę po Bronku oddałem. Zaręczeni byli... a jakże! Święta prawda, że byli ze sobą zaręczeni, prawie od dzieciństwa kochali się! Szczęście ją ominęło i potem nigdy się już z żadnym nie spotkała.

*

Owszem, dowiedzieliśmy się niebawem, że się spotkała, tylko... Ale niechże wszystko po kolei już opowiem.

Po owej rozmowie z panną Różą pod kasztanami pan Seweryn długo do Dworków nie przyjeżdżał. Wiosna przeszła, lato nastąpiło, Zygmus od dawna już na wakacje do domu przyjechał, a szanowny sąsiad, tak oczekiwany, przyjeżdżać ani myślał — właśnie może z powodu tego oczekiwania, bo zbyt doświadczony był i rozumny, aby nie spostrzec w zachowaniu się pani Januarowej tego lub owego szczegółu, z którym — *srogim*, lepiej mówiąc, surowym będąc — nie wiedziałby, co czynić. Jednak pewnego dnia na koniec przyjechał i trzebaż nieszczęścia, wtedy właśnie, kiedy biedna nasza pani Januarowa była znowu silnie zalterowana, tym razem całodzienną nieobecnością w domu panny Róży. Ta, z rana jeszcze oznajmiła, że do wieczora w domu nie będzie, klucze powierzyła Maryni i gdzieś sobie poszła. Wszyscy pamiętali, że takie całodziennie wycieczki zdarzają się jej czasem; Marynia utrzymywała, że raz na rok tylko. Rządca powiedział, że spotkał się z panną Różą u brzegu lasu, w którego głębi znikła mu z oczu, co usłyszawszy pan January sapnął głośno, chrząknął nieśmiało i do żony rzekł:

— Daj pokój, rybko! Ja wiem, dokąd ona poszła... Niech zdrowa spaceru użyje! Wielka rzecz, że tam raz na rok...

Żona mu przerwała.

— Janusiu, tylko bez tego ujmowania się! Zawsze ujmujesz się za nią. Ta kobieta ma szczęście! Wszyscy kochają się w niej, może i ty także. Trzeba tylko było pierw serce zbadać, w którą stronę ciągnie, a ja pewno nie stanęłabym do rywalizacji... z taką! Wiesz, gdzie poszła! I ja też wiem! Osiem lat już jestem w Dworkach i co roku tę samą czułą historię słyszę! Głupstwo! Przypomniała sobie babka dziewic wieczór! W jej wieku należałoby już o tych wszystkich fikcjach zapomnieć! Cały boży dzień dom bez gospodyni, bo przecież Kamilka i Marynia nie będą po kuchniach i spiżarniach latać, ażeby jeszcze ludzie powiedzieli, że macocha je na dziewczki folwarczne obraca...

Marynia zauważyła, że wszystko jest zadysponowane i wydane i pani Januarowa zaraz na nią wpadła.

— Ty też buzię za cioteczką otwieraj. Zastąpić ją może potrafiysz? Do gospodarstwa dużo ochoty zawsze miałaś, prawda? Hafciki ci w głowie, muzyczka, kawalerowie, nie

gospodarstwo! Ja też nie napędzam. Cóż? Macochą jestem! Ludzie zaraz powiedzą, że przesładuję, gnębię. Ale ciekawam, co zrobisz, jeżeli kto z gości przyjedzie? Cioteczka po nocach poezje czytuje, a we dnie po lasach się wałęsa, ty zaś kluciami dzwonić tylko umiesz. Niechże kto z gości przyjedzie: zobaczymy, czy jak kluciami podzwonisz, wszystko będzie, jak potrzeba!

Jak raz przyjechał. I któż jeszcze? Sam pan Seweryn Dorsza, którego dom po pańsku urządzony skłaniał sąsiadów do odpowiednich w przyjmowaniu go występów. Teraz już i pan January czuł się niezadowolony, że panny Róży w domu nie ma. Wiedział, że żona i córki do niczego w gospodarstwie się nie mieszają, służba bez dozoru omyłki popełniać może; a takie rzeczy stanowiły dla niego i w ogóle w Dworzech kwestię niemalej, owszem, pierwszorzędnej wagi. Marynia przed zaproszeniem do stołu tak gorliwie kluciami dzwoniła, że aż do różyczki miesięcznej stała się podobną; jednak wystarczało jednego rzutu oka, aby dostrzec, że melon był źle pokrajany, filiżanki do kawy nie takie, jak potrzeba, świeżo przyjęty lokaj bez białych rękawiczek, może i inne jeszcze tym podobne rzeczy chybione i niedoskonałe. Pan January irytację ukrył i tylko głośniejszy niż zwykle sapał; ukryłaby zapewne i pani Januarowa, gdyby nie znalezienie się samego pana Seweryna, w najwyższym stopniu niestosowne. Zaledwie do podwieczorku zasiadł i właśnie w chwili, gdy ładna gosposia z pękiem gwoździków w złotych włosach i z najmilszym uśmiechem zaczęła czynić mu wyrzuty, że tak długo przy tym stole go nie widywała, spojrzął na puste krzesło panny Róży i zapytał:

— Jednej osoby z towarzystwa państwa nie widzę. Może chora?

Zdawać się mogło, że silnie zaniepokojony czuł się myślą, że może być chora i to właśnie naszą tak rozsądną zwykle panią Januarową z równowagi wytrąciło. Porywczo i bez namysłu odpowiedziała:

— Gdzie tam! zdrowa jak ryba, tylko poszła do lasu z nieboszczykiem narzeczonym romansować.

Gdyby była chwileczkę namyśliła się, nie byłaby tych słów wyrzekła, bo przecież wiedziała, co, jak i przy kim mówić wypada, ale krew nie woda: irytacja! W irytacji natura właściwa człowiekowi wyskakuje z niego jak wilk z lasu. Pan Dorsza skrzywił się, jakby go coś we środku ukłuło, bo gburowatości wszelkiej strasznie znosić nie mógł, a pan January, chcąc naprawić niestosowne odezwanie się żony, ubolewającym tonem do sąsiada przemówił:

— To smutna historia... bardzo smutna...

— Znam ją dobrze — odpowiedział pan Seweryn.

— Jest to rocznica dnia, w którym wszyscy pożegnaliśmy odjeżdżającego...

— Wiem o tym — odrzekł znowu pan Seweryn, coraz bardziej zaszępiiony i sztywniejący.

Panią Januarową ton ubolewający męża i sztywność gościa jak szpilki kłuły. Jednak z wielką słodyczą w głosie przemówiła:

— Mój Janusiu, tak o tym mówisz, jakby ten tragiczny wypadek zaszedł miesiąc albo rok temu. Panna Róża jest już tak... Działo się to tak dawno...

Szwagier wpadł jej w mowę.

— *Le kier na pa de ryt!*

A ja ośmieliłem się wyrazić uwagę:

— Pamięć bywa różna, pani dobrodziejko; jedni pamiętają miesiąc, rok, inni przez całe życie zapomnieć nie mogą.

Pani Januarowa, strzałą morderczą we mnie z ócz ciskając, prędko odpowiedziała:

— Szczególniej, jeśli nic innego do pamięci wpaść nie mogło!

— Owszem, tym razem mogło — odezwał się znowu pan Seweryn.

Pani Januarowa z prawdziwie czarującym uśmiechem do niego przemówiła:

— Przecież odkąd pan Bronisław odjechał, o pannę Różę nikt się nie starał i za mąż wyjść nie mogła.

— Owszem, mogła — powtórzył pan Dorsza.

Ogromnie tym powiedzeniem nas wszystkich zadziwił, bo istotnie o żadnym konkurencie do ręki panny Róży nikt z nas nigdy nie słyszał. On zaś milczał chwilę, namyślał się, a potem łyżeczkę od kawy na spodku położył i tak po prostu, jakby komu dzień dobry mówił, wypowiedział:

— Ja trzy razy oświadczałem się o rękę panny Róży i trzy razy odmowę otrzymałem.

— Jezus, Maria! — podskakując na krześle, jęknął pan January.

Pani Januarowa stała się tak biała jak obrus na stole; świeże jej rumieńce do kropelki z twarzy zniknęły. A ten najzacniejszy (i najbogatszy!) pan Dorsza najzwyczajniejszym tonem mówił dalej:

— Muszę to państwu opowiedzieć, aby omyłkę usunąć. Panna Róża mogła od lat wielu i dziś mogłaby, gdyby chciała, zostać moją żoną i panią domu w moim Tęczowie. Nie chciała i nie chce. Może wiadomość o przyczynach, które jej wolą kierują, opinię państwa o niej poprawi, w oczach państwa ją podniesie, położenie, które zajmuje tu, polepszy. O to mi idzie tylko...

Do pana Januarego się obrócił:

— Pan dobrodziej przypomina sobie, że z bratem pańskim, Bronisławem, żyłem w przyjaźni serdecznej. Narzeczoną jego znałem; podobała mi się, ale się w niej nie kochałem i tyle tylko, żeśmy stanowili trójkę przyjaciół. Była to trójka romantyków. Mieliśmy wiele wiary, miłości i nadziei; Broniek za nie głową nałożył, ja poszedłem na długo tulać się po szerokim świecie, panna Róża została sama. Powróciwszy z wędrówki pojechałem zaraz do Dworków, aby dowiedzieć się o losach narzeczonej przyjaciela. Były one podówczas względnie dobre. Z pierwszą panią tego domu w przyjaźni i harmonii żyła i jakkolwiek przez to, co się stało, przyćmiona, była jeszcze świeża, kwitnąca...

— Czy była kiedykolwiek kwitnąca? — zapytała pani Januarowa z cicha, bo coś ją w gardle dławić zaczynało. Pan Dorsza spokojnie na nią patrząc powtórzył:

— Była śliczna. Nie tyle może doskonale piękna, ile pełna wdzięku i życia. Była żywa i wesoła. Pani z trudnością temu wierzy? Prawda; jest ona teraz tylko cieniem samej siebie. Ale nierzadko zdarza się na świecie, że człowiek długo idzie za samym sobą jak cień wierny i ciemny pełźnie w noc księżycową za wesołym i żwawym człowiekiem. I bywa, że gdy człowiek właściwie już przeminął, cień jego długo jeszcze trwa. Ale w czasie, o którym mówię, panna Róża znajdowała się w kwiecie młodości, a młodość to taki ptak, który zza najgrubszych chmur jeszcze słońca dopatrzy i choć z ołowiem na skrzydłach — jeszcze ku niemu wzbijać się próbuje. Uśmiechnęła się do mnie myśl wspólnego z tą kobietą rozpedzenia chmur i wzbijania się ku słońcu. Pokochałem ją i w siódmą rocznicę odjazdu Bronisława, na tym miejscu, na którym ostatni raz go pożegnała — na którym dziś znajduje się zapewne — powiedziałem jej, że uczyni mnie niewypowiedzianie szczęśliwym, jeżeli zechce zostać moją żoną.

— I cóż! I cóż? — zapytywały dokoła stołu głosy ledwie dyszące od zdziwienia i ciekawości, a pan Seweryn tonem zwyczajnego opowiadania mówił dalej:

— Odmówiła. Płakała, dziękowała mi za dobre dla niej uczucia i chęci, ale wciąż powtarzała: „Nie mogę! Tak kocham go jeszcze, tak nieustannie stoi mi on przed oczyma... tak kocham go, że nie mogę!” Potem jeszcze dodała: „tak mi go żal, tak mi go żal”. I mówiąc to płakała tak ciężko, jakby łyż z męką niezmierną dobywały się z samego dna jej serca... Odmówiła.

Spuszczonymi powiekami wzruszenie żrenic okrywając, nie tylko spokojny, ale trochę sztywny, pan Seweryn do pana Januarego znowu mowę zwrócił:

— A po raz drugi zdarzyło się to wówczas, gdy wieść mnie doszła, że pan dobrodziej w powtórne związki małżeńskie wstąpić zamierza. Byliśmy już oboje, ja i panna Róża, daleko starsi, lecz jeszcze nie starzy. Ja miałem lat czterdzieści parę, a ona trzydzieści kilka. Przyjechałem, znalazłem ją przygotowującą dom na przyjęcie nowej jego pani i w ogrodzie powtórzyłem to, co przed kilku laty mówiłem w lesie. Przychylnej odpowiedzi pragnąłem nie mniej niż przedtem: owszem, zapewne silniej, bo słońce mego życia przeszło już punkt południowy i rzucać zaczęło na świat smugi melancholijne; czułem zalatujący powiew wieczoru; tkwiło we mnie głębokie i niepożbyte pragnienie stworzenia przed nocą dla siebie i dla niej cichej i cieplej przystani. Byliśmy zresztą w wieku najlepiej sprzyjającym energicznej, wspólnej pracy, a także tym uczuciom, które głębią i twardością wynagradzają to, co im z zapału młodzieńczego ubyć mogło. Wszystko to przedstawiłem pannie Róży i tym razem, śmiem pochlebiać sobie, że słowa moje ją wzruszyły. Zdawało mi się, że był moment, w którym wyrazy zgodzenia się na moją prośbę rozlegały się w jej sercu i przemocą na usta wybiec chciały. Nie wymówiła ich jednak: prosiła o parę dni do namysłu. Po dwóch dniach przyjechałem znowu: znalazłem ją mizerną, pobladłą, tak

wyglądającą, jakby z ciężkiej choroby powstała. Ale gdy o decyzję ją zapytałem, wzrok jej błagał mnie o przebaczenie, a głową przecząco wstrząsała, długo mówić nie mogąc. Potem mówiła, że gdyby Broniek umarł był w sposób zwyczajny, to może... ale tak!... ale tak!... „Jemu śmierć przedwczesna i męczeńska, a mnie życie szczęśliwe: cóż to za sprawiedliwość! Nie mogę! To mój święty! Nie odstąpię go nawet dla najlepszego z ludzi”. Było to już coś innego niż wprzód. Oblubieniec namiętnie kochany uległ metamorfозie, fale tęsknot i myśli przekształciły go w świętego, a dusza umiejąca czcić i rozumieć świętość nie chciała wyrzucić jej z siebie w zamian ziemskiego szczęścia, którego jednak pragnęła. Z umarłymi walczyć trudno. Odjechałem zwyciężony.

Niepodobna mi nawet wyobrazić sobie, jaką minę mieć mogłem, wszystkiego tego słuchając, to tylko wiem, że ze trzy razy chustkę do nosa z kieszeni wyjmowałem. Co schowam, to znowu potrzebna. Patrzę, aż u tego pustaka Zygmunta żrenice jak zza szybek pomiędzy powieki wstawionych przeglądają, kończyk wąsika w palcach kręci, wyprostowany jak struna i zza szybek szklanych, które nieruchomo w oczach stoją, w pana Dorszę jak w tęczę się wpatruje. On też nie wiem dla jakiej przyczyny do Zygmunta i do mnie teraz mowę zwrócił i ciszej niż przedtem dodał:

— Bohaterstwem duszę jej podbił na zawsze. W aureoli świętego przed nią stał i jak wierny od ołtarza, od obrazu tego oderwać się nie mogła.

— Wierna! — pomimo woli wymówiłem.

— Tak, ale na wszystko jest pewna miara. Siła serca, które pamięta i cierpi, wyczerpana być może. Osiem lat znowu minęło. Wieczór zapadać począł. Czas wrzyna się w człowieka jak piła w miąższ drzewa...

Zwrócił się do pana Faustyna:

— Pan dobrodzieju się myli: *Le coeur a parfois des rides*.

Pan Faustyn ze zmieszaniem aż zakręcił się na krześle.

— Ja... panie dobrodzieju, powiedziałem to tylko tak sobie... *an parantess!*

A pan Dorsza znowu głównie do mnie i do Zygmunta mówić zaczął:

— Ale czasem serce zmęczone więcej jeszcze słodczy i ukojenia pragnie aniżeli świeże. A cóż może być słodsze nad otoczenie kobiety dobrej i kochanej serdeczną przyjaźnią i opieką? Prawda, że słońce nasze spłynęło już ku zachodowi, lecz mogą być jeszcze cudne ciche godziny o pogodnych zorzach wieczornych. Więc około trzech miesięcy temu, w czasie ostatniej bytności mojej w Dworzech ponowiłem wobec panny Róży gorącą prośbę moją.

Oczy pani Januarowej stawały się prawie obłąkane. Więc to, co wymyśliła jako złośliwą i nieprawdopodobną drwinę, było tak ściśle prawdziwe!

— Tym razem spotkałem się znowu z czym innym. Panna Róża powiedziała mi, że jeżeli dotąd pamięcią i sercem pozostała wierną swemu... świętemu, to już rozstawać się z nim dla tej odrobiny czasu, który pozostał jej na ziemi, wprost nie warto. Powiedziała, iż tak długo już żyje ze swoją samotnością i ze swoim smutkiem, że stały się one drugą jej istotą, nawyknięciem, treścią życia, których wyrzucić z siebie i zastąpić czymś wcale przeciwnym niepodobna. Powiedziała, że według słów jednej z ulubionych swych ksiązek, tak już dawno „żyje w cieniu śmierci”, myśląc często nie tylko o tamtej, ale i o swojej, jako o wolnym wzlocie czegoś w niej niewiadomego w coś poza nią niewiadomego, co wielkie jest i niezmierzone, a upragnione już przez to, że musi być czymś wcale innym niż wszystko, co jest tu. A z tego cienia, kto długi moment w nim przebędzie, niepodobna już wyjść na pełne światło i z takich myśli, kto długo z nimi przestawał, niepodobna wejść w krąg szczerych uciech... To mi powiedziała i... zawołana przez lokaja odeszła, aby podwieczorkiem państwa zarządzić...

Tu załamał się jakoś głos pana Seweryna: umilkł, a z tego milczenia korzystając, od dawna już wzburzony i silnie na twarzy zaczerwieniony nasz kochany tłusciuchny pan January przypodniósł się na krześle, ręce gościa w swoje pochwycił i wstrząsając nimi, prawie chlpiąc od płaczu, mówić zaczął:

— Ja pana dobrodzieja bardzo, bardzo za kuzynkę moją przepraszam... Zaczności kobieta, że tak o nieboszczyku Bronku pamięta, ale takiego jak pan człowieka obrażać, takie szczęście odrzucać — jakże można! jakże można! Niech pan dobrodzieju wierzy, że ja o niczym nie wiedziałem, bo gdybym był wiedział... przecież spokrewnienie się z panem dobrodziejem byłoby dla mnie zaszczytem, przyjemnością... Teraz, dowiedziawszy

się, kuzynce mojej uczynię gorzką, gorzką wymówkę, a pana dobrodzieja raz jeszcze przepaszam za nią, bardzo, bardzo prze...

Wtem: „Zagrzmiało, runęło w Betlejem ziemi!”. Pani Januarowa, nie czekając końca przemówienia mężowskiego, wstała od stołu, ale w taki sposób, że krzesło posunęło się za nią z grzmiotem i z wielkim stukiem na ziemię upadło. Po czym ona sama dziwnie jakoś krzyknęła i wybuchnęła wielkim jakimś śmiechem. Pokazało się, że *globus histericus*, który od początku tej rozmowy ciągle ją dławił, zupełnie teraz do gardła wlaź i dostała pierwszego w życiu napadu spazmów. Więc Idalcia, pan Faustyn i inni, pod ramiona ją schwyciwszy, do dalszych pokoi uprowadzili, pan January około posyłania po lekarzy się zakrzętnął, pan Dorsza odjechał, a w jadalnej sali tylko Zygmus i Marynia pod oknem siedząc coś do siebie szeptali i ja przy stole wciąż na jednym krześle jak skała tkwiłem. Od tego, com słyszał, w głowie mi się przewracało, i nie tylko w głowie. Z zadumy wyrwać się nie mogłem.

Nagle Zygmus zerwał się od okna i pędem strzały z pokoju wyleciał. Marynia także spojrzawszy przez okno zerwała się i jak błękitny ptak szybko wyfrunęła. Myślę sobie: co oni takiego na dziedzińcu zobaczyli? Czego tak polecili? Wstałem też, do okna podszedłem i — co państwo myślą, że zobaczyłem? Oba te dzieciaki leciały na spotkanie panny Róży, która właśnie w bramę dziedzińca wchodziła. Niosła z lasu więź liliowych dzwonek i świecących jak słońce żółtych arnik. Lecz kwiaty te wysypały się jej do stóp, gdy ten pustak Zygmus porwał jej ręce i nisko schylony tak całować je zaczął, jakby w te pocałunki całą duszę swoją wlewał. A Marynia ze swej strony oba ramiona zarzuciła jej na szyję, i błękitną bluzką jak promiennym obłokiem do jej szarej, smutnej sukni przyłgnęła.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gloria-victis-panna-roza>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Gloria victis*, Czytelnik, wyd. 1, Warszawa 1986

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Sylwia Hornowska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).